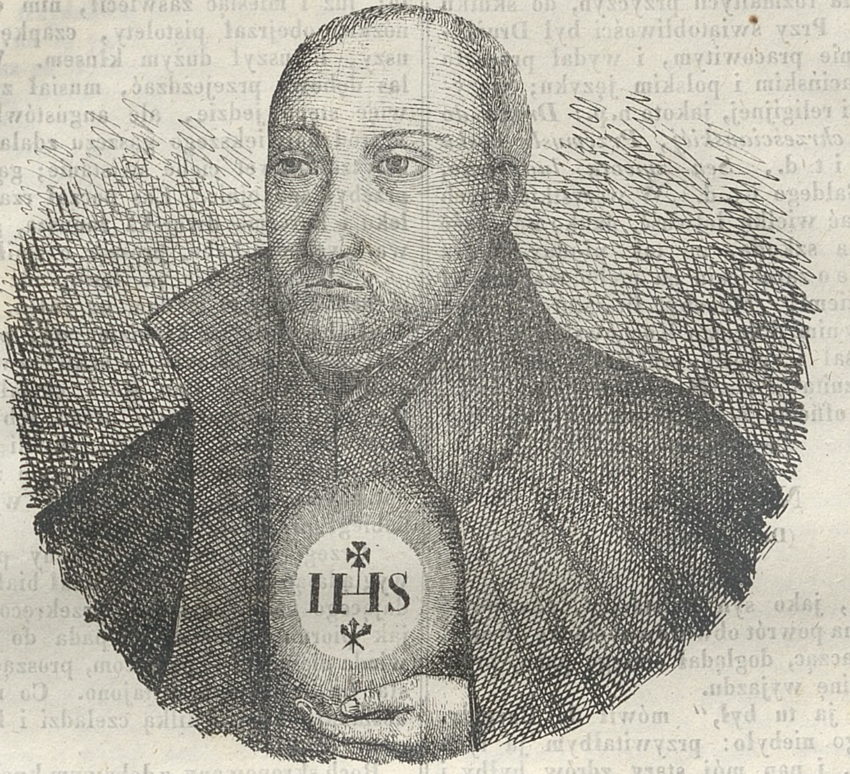
Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. **No. 47.** **Leszno,** *dnia 21. Maja 1841.*



Kaspar Drużbicki.

Kaspar Drużbicki, Jezuita.

Zakon Jezuitów w Polsce wydał wielu uczonych ludzi. Komuż nieznane są imiona Wujków, Skargów, Herbestów, Wysockich, Knapskich, Sarbiewskich i tylu innych? Do tego pocztu sławnych Jezuitów przydadź można także Kaspra Drużbickiego. Urodził się dnia 6. Stycznia 1590. roku, w domu szlacheckim, w województwie poznańskiém. Rodzice oddali go wcześnie do szkół jezuickich w Poznaniu. Nauczyciele jego odkrywszy w nim niepospolite zdolności, a nadewszystko czyste obyczaje i umysł do rozmyślań pobożnych bardzo skłonny, namówili go do swego zakonu i w r. 1609. wysłali do nowicyatu krakowskiego. Tu zostawał Drużbicki trzy lata, pod Andrzejem Gutteterem, który mając dozór nad nowicyuszami, życiem swojém ostrém, rozmyślaniom pobożnym poświęconém, utwierdził Drużbickiego na całe życie w pobożności. W roku 1612. udał się Drużbicki na filozofią do kollegium kaliskiego, gdzie zabawiwszy do roku 1615., wyznaczony został od przełożonych zakonu na nauczyciela poetyki w kollegium lubelskiém. W roku 1617. uczył retoryki w kollegium toruńskim, a w następnym przeniesiony do Poznania, słuchał tu teologii aż do roku 1621., w którym (w 30tym roku swego życia), na kapłana wyświęconym został. Przez takieto koleje przechodzić u Jezuitów musiał zakonnik, mający kiedyś w towarzystwie swojém wyższe piastować godności i urzędy! Odebrawszy święcenie kapłańskie, wykładał filozofią w kollegiach lubelskiém i kaliskiém; nareszcie w roku 1626. objął zarząd nowicyatu w kollegium krakowskiém. Na wszystkich tych urzędach dawszy dowody głębokiéj nauki, niezmordowanéj niczem gorliwości i świątobliwych postępków, obrany został jednomyślnie w nagrodę licznych zasług i poniesionych trudów na Prowincyała w prowincyi polskiéj. Sprawowawszy ten urząd, z wielką chlubą dla

siebie a pożytkiem dla zakonu, przez trzy lata, objął w r. 1633. zarząd kollegium kaliskiego. Sprawując nareszcie rozmaite urzędy w zakonie swoim, umarł rektorem kollegium poznańskiego r. 1662., mając lat 71.

Świątobliwość Drużbickiego tak była wielką, że Jezuici starali się o kanonizacyą jego, co jednak, dla rozmaitych przyczyn, do skutku nie przyszło. Przy świątobliwości był Drużbicki niesłychanie pracowitym, i wydał przeszło 40 dzieł w łacińskim i polskim języku; wszystkie są treści religijnéj, jakoto n. p.: *Droga do doskonałości chrześciańskiéj*, *Przemysły zysku duchownego* i t. d., *Sen żywota ludzkiego*, przekład z Baldego i t. d. W wszystkich tych dziełach widać wielką łatwość, naukę i obfitość myśli. Co za szkoda, że tak płodny pisarz myśląc jedynie o zarobieniu na niebo, zapomniał całkiem o ziemi! Możeby literatura polska miała była w nim drugiego Kochowskiego. Życie jego opisał i ogłosił drukiem Daniel Pawłowski, Jezuita: *Vita P. Gasparis Drużbicki.* Cracoviae in officina Schedeliana. X. *K.*

Napad.

(Dokończenie.)

3.

Pan Roch, jako syn najstarszy, zastępując miejsce ojca, na powrót obwarował się we dworze. Grzegórz, płacząc, doglądał starego pana, przeklinając godzinę wyjazdu.

„Gdybym ja tu był,“ mówił do Brygidy, „nigdyby tego niebyło: przywitałbym ja tych psów dobrze, i pan mój stary zdrów byłby i wasze niechodziłoby z zawiązaną głową. Dziękujmy Bogu i za to, że was przy żywocie zostawili.“

Upłynęło dwie niedziele, o napadzie ani słychu; ciche wieści dochodziły jeno przez dworskich, że szlachta się odgraża na pana Rocha.

„Nieprózno im wodzi solą w oku,“ powiedział na to Grzegórz, „bo to panicz głowa domu, a potém kto się z nim wyrówna w sile i odwadze?

W trzecim tygodniu był kiermasz w pobliskiém miasteczku; pan Roch chciał się zobaczyć z sąsiadami i kupić parę koni; Grzegórz radził samopas nie jeździć.

„Wielmożny panie, niech lepiéj pan doma zostać raczy, a jeżeliż konieczna na jarmark, weźcie ze dwóch pachołków dobrego serca; łotry darmo nie grożą; oni umieją więcéj dotrzymać słowa, niż inny szlachcic.“

„Bądźcie dobréj myśli, poczciwy Grzegorzu; każ jeno białonóżkę mi osiodłać i oczyścić augustówkę, żeby z pochwy łatwie dobyć; o reszcie ja pomyślę.“

Jakoż nabił parę pistoletów, włożył wolstra; drugą mniejszą parę włożył za pas; szturmak przewiesił na ramię; augustówkę do boku, wsiadł na białonóżkę i ruszył z dworu.

Ludny był kiermasz; bydła, koni, trzody i owiec dużo napędzono; szlachty wiele się nazjeżdżało; znajomi sąsiedzi radzi witali pana Rocha, zaprosili na wieczerzę, a przy kielichu musiał opowiadać o napadach doznanych. Pił za wiele; już i miesiąc zaświecił, nim dosiadł białonóżki; obejrzał pistolety, czapkę nacisnął na uszy, i ruszył dużym kłusem. Właśnie miał las dębowy przejeżdżać, musiał zwolnić biegu; więc stępo jedzie, ale augustówkę dobył. — Wśród największego gąszczu zdala coś mignęło; usłyszał nawet ciche świstanie; gąszcz wszakże przebył spokojnie. Las począł rzadzieć; niedaleko i karczma dworska Janusza, gdy z za drzewa wychodzi baba, prosząc o zmiłowanie.

„Nie włócz się po lesie, idź do karczmy; ja tam stanę, to ci dam na chléb.“

Baba wszakże kłaniając się, podchodzi bliżéj; nagle podskoczy, a schwytawszy za cugle, świsnęła silnie. Pan Roch chciał ciąć szablą, ale baba schowała się przed łeb koński; nie mógł jéj dostać, a w téj chwili otoczony od kilkunastu zbrojnych, ściągniętym z konia i skrępowanym został. Białonóżka wydarłszy się, pobiegł prosto do dworu.

Grzegórz chodził niespokojny po dziedzińcu, wyglądając panicza: gdy ujrzał białonóżkę, wpadającego na dziedziniec z przekręconém siodłem; jak piorunem rażony, wpada do dworu, opowiada nieszczęście paniczom, prosząc, ażeby przed słabym Jegomością zatajono. Co rychléj bracia dosiadają koni z kilką czeladzi i biegną gościncem.

Roch skrępowany, z dębowym kneblem w ustach, leżał na krańcu lasu, w pobliżu swojéj karczmy, oczekując ostatniéj godziny; pilnowało go czterech zbrojnych. Po pacierzu może rozbiegli się w różne strony jego strażnicy, bo dosłyszeli liczne głosy wracających z kiermaszu. Roch dobywa całéj siły, podrzuca ciałem, tacza się, i zmęczony, uznojony, przyczołgał się prawie pod ścianę karczmy; tu, ile mógł, dobywa z piersi głosu, jęczy.

Wieśniacy, bawiący w karczmie, słyszą jęk; wybiegają, poznają młodego pana, przerzynają powrozy, wyjmują knebel, który mu twarz przekrzywił; sadzają na ławie, trzeźwią; gdy właśnie bracia nadbiegają z czeladzią. Przywieziono na wozie zmęczonego Rocha. Grzegórz zaklął się na swego patrona, że się pomści srodze.

4.

Długo leżał Roch w łożu, za nim wydobrzał, ale knebel wykrzywił mu twarz na całe życie. W miesiąc po téj przygodzie, w obiadową porę, ujrzano cwałem wpadającego szlachcica na koniu, z zakrytém obliczem, który kartę przylepiwszy na okiennicy, co koń wyskoczy uciekł z podwórza.

Grzegórz zdarł kartę i przyniósł do izby, a pan Roch głośno przeczytał:

„Doznaliśmy waszéj odwagi, chcemy żyć „odtąd w zgodzie. Żebyście nas poznali, w pier- „wszą niedzielę po nowiu miesiąca, o godzinie „piątéj rannéj, przybądźcie na górę, tam „was oczekiwać będą

Bracia szlachta.“

I podpisy trzydziestu dwóch krzyżykami.

„Cóż wy na to panie ojcze?“ zapyta.

„„Niemasz co myśleć, trzeba się uciec pod opiekę prawa, wezwać pomocy na tych, co zaprzysięgli zgubę naszéj rodzinie.““

„Ale się trzeba stawić na górze, w umówioném miejscu; pochwytamy łotrów;“ rzekł Grzegórz.

Przygotowano więc wszystko jak najskryciéj; towarzysze pancerni tajemnie otoczyli wszystkie przesmyki góry. Roch z braćmi uzbrojeni; stary Grzegórz, ze swoim szturmakiem, postępowali zwolna drogą na górę. Stanąwszy na wierzchołku, nikogo nieujrzano; pusta była okolica. Roch daje hasło na trąbce myśliwskiéj, jakiéj na karcie przylepionéj żądano, ale tylko echo odpowiedziało. Strudzeni schodzą, i kiedy u spodu góry łączą się z pancernymi, z wierzchołka rozbójnicza szlachta otrębuje się kilkakroć, tak, jakby psów na ślad grubego zwierza nawoływano. Rzucają się teraz obławą wszyscy na ten odgłos zuchwały; dostają się na wierzchołek, żywéj nieznajdując duszy.

Grzegórz darł czuprynę ze złości, że się pomścić nie mógł: wrócili wszyscy do domu. Nazajutrz rano, kiedy otwierał okiennicę szrubowaną u pana Janusza, znalazł świeżą kartę; przyniósł więc i oddał panu Rochowi, który wyczytał na niéj te słowa:

„Dajemy wam *verbum nobile*, zaręczamy „słowem szlacheckiém, iż odtąd będziem żyli „z wami w zgodzie i pokoju.“

Podpisy jak dawniéj.

Grzegórz klasnął w ręce z radości. „Teraz już,“ rzekł, „możem spać spokojnie; ja mój szturmak zawieszę na ścianie,“ wystrzeliwszy nabój na vivat.

„Jesteś tego pewny, że niepowtórzą napadu,“ zapyta Roch zdziwiony.

„„Tak pewny, jak że słonko w to okno, na którém karty przylepiali, zaświeciło.

I zaprawdę już rodzina Janusza doznała spokoju; stary z Grzegorzem wydostali ze spichrza okutéj szkatuły, którą też odtąd pod swojém łożem ustawić kazał. *K. Wł. Wojcicki.*

Ruiny królewskiego zamku w Nowym Sączu. (*)

Ruiny królewskiego zamku w Nowym Sączu wznoszą się nad brzegiem Dunajca, na wysokim brzegu; z dwóch stron nad drogą; z drugiéj, to jest z dziedzińca, od miasta; a z trzeciéj, od rzeki. Stanąwszy tuż nad brzegiem, najpiękniejszy ci się widok otwiera. Rzeka Poprad niedaleko od zamku wpada do Dunajca; u dołu ciągnie się długi most po Dunajcu, przeszło 350 kroków; daléj góry, lasy, piętrzące się coraz wyżéj; w mgle widzisz Stary Sącz, a jeszcze wyżéj śnieżne szczyty gór karpackich.

(*) Por. P. l. rok III., T. I., N. 35.

Co się tyczy zamku i jego świetności, to już i znaku jéj niema; piętro wyższe zrzucone, budynki do zamku należące z ziemią zrównane, mury i baszty zapadłe i w gruzy zamienione; niemasz już tych gmachów królewskich, gdzie rezydowali Rządzcy zamku i miasta; niemasz tych sal pięknych i kosztownych, ani tych komnat, jakie zamieszkiwali królewicze, gdzie mieli swoje rozrywki i gdzie się uczyli pod okiem Długosza; wszystko zniknęło; czas prawie wszystko strawił; a co on oszczędził, ręka ludzka dokonała. Istniejący zamek, obrócony na skład rządowy, na piekarnie, do pieczenia chleba dla wojska, smutne rodzi w nas wspomnienia; widać jeszcze malowidła na sufitach, kawałki sztukateryi, ozdoby marmurowe, oddrzwia i kominki z tegoż samego kamienia; wszystko to jednak poobcinane i popsute; wspaniałe okna są do trzech części zamurowane, a do murów poprzyczepiane różne klitki z drzewa, przeznaczone na różne składy i mieszkania dozorców; oto jest zamek sandecki; zdjąłem jego widok z dwóch stron, bo mi się zdały obie strony godne uwagi.

Zasługuje także na uwagę zburzony kościół XX. Franciszkanów, dziś obrócony na kościół wyznania augsburgskiego; gotyckie ozdoby i rzeźby widać na częściach muru, a na jednéj ścianie jest tablica marmurowa z pochwałami fundatora; na ziemi leżą powyrzucane z kościoła grobowce nieposledniego dłuta z pozacieranymi i poniszczonymi napisami.

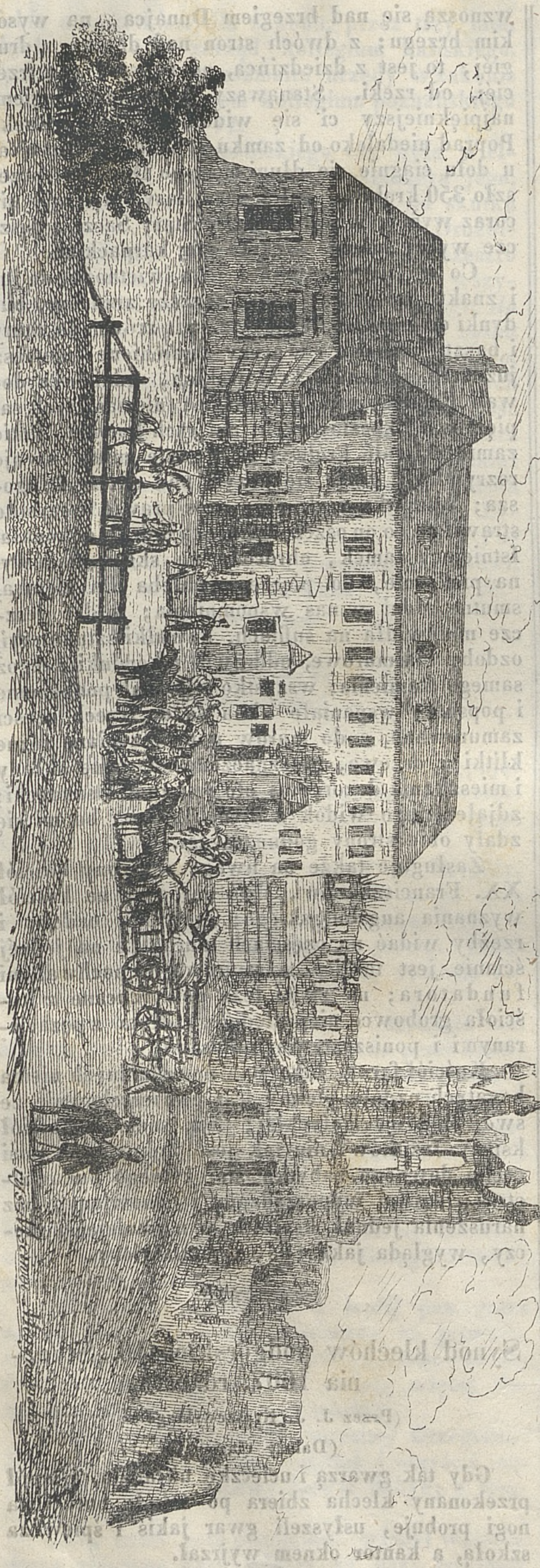
Kościół farny, lubo wewnątrz żadnych niema bogatych ozdób, piękny jest powierzchownie ze swéj budowy gotyckiéj; toż samo i kościół księży Jezuitów: nie tak jest piękny, jak nosi cechę dawnego zabytku starożytnego budownictwa; dzisiaj wyporządzony i odnowiony, bez naruszenia jednak kształtu w najmniejszéj rzeczy, wygląda jakby nowo wystawiony.

Synod klechów podgórskich 10. Stycznia 1607. roku.

(Przez J. J. Kraszewskiego.)

(Dalszy ciąg.)

Gdy tak gwarzą i ucieczkę układają, a wpół przekonany klecha zbiera po szkole buty i na nogi probuje, usłyszeli gwar jakiś i śpiew za szkołą, a kantor oknem wyjrzał.



Ruiny królewskiego zamku w Nowym Sączu, od południa.

„Oj! jakichś tu ludzi ciżba się wlecze?“

„To pewno rzeźnicy, co cielęta do miasta prowadzą.“

„Ba! rzeźnicy w giermakach na plecach; słyszysz?“

„Słyszę, to coś po naszemu śpiewają.“

W istocie zbliżająca się czereda odzywała się, zarywając coś z łaciny i uczonego kantu. Poruszony tém kantor wyjrzał za nią i spytał, poznawszy braci klechów:

„Salvete studiosi! a dokądże to tak?“

„„Deo gratias; nędzę gonim po świecie.““

„A czegoż ją gonić, toście ją pewnie mieli tam, zkąd idziecie. Roskosz to nam gonić, bo téj dla nas nigdzie niema.“

Aż na to z tłumu ozwał się Matyasz klecha z wyparzoną gębą:

„Odeszliśmy my takiéj roskoszy doma, żeśmy dla niéj i petycyą porzucili.“

„„A tu pleban u was dobry?““ spytał inny, Valentinus.

„Przydałby się do octu,“ odpowiedział kantor, „daj go djabłu z jego dobrocią.“

„„Gdzież już u licha dobrego znaleść?“ odparł Walenty, „właśnieśmy to i my takiego dobrodzieja odeszli. Zaczął nam przed żniwami i petycyą takie dziwy broić, pańszczyznę sobie kazał odrabiać, jadła umykał, jeszcze to szczęście, żeśmy bez myta, a jak przyszło do petycyi, on ją wypowiedział, a jam poszedł z Bogiem od kwartału. Wszystkich nas taka historya, ufamy w Bogu, że nas biedaków pożywi.““

„„„O! i nam tu nie lepiéj,““ odparł ze szkólnego okna bosy Dominaszek. „„„I u nas nędza, chleba widzieć trudno, piwo dla nas wyschło, pochudliśmy jak psy bez panów.““

„„Z płaczem o tém gadać, panie bracie,““ rzekł klecha z tłumu; „„„jam bosy choć nie przepiłem obuwia, bo od księdza grosza nie wziąść, a z jałmużny ciężkie życie. Umyśliliśmy wszyscy, coś sobie na to poradzić, żeby w kwartał miejsca nie rzucać, i nie dłużyć się pracując na życie.““

Bosy Dominaszek z okna im odpowiedział: „„„A kto nam psuje, to ci łotrowie pochlebnicy, coto i stolarze i krawcy z nich i tkacze i rybitwy. Co to księdzu płótno, gospodyni kształcik zrobi, to wykroi, to usnuje, przypochlebuje się jéjmości kucharce, garnki liże, kradnie a księdzu swoje myto puszcza. Ksiądz też rad obiecuje, że go do śmierci chować będzie. Oj ci to, ci uxoraci nam psują, co ledwie mszę odbeczeć potrafią, a lepiéj tką, niż śpiewają.““

Gdy tak, u okienka szkólnego stojąc, gawędzą, kantor z klechą Dominaszkiem naradziwszy się, pobrawszy tłómoczki, wyłażą do nich, i uciekają z nimi społem.

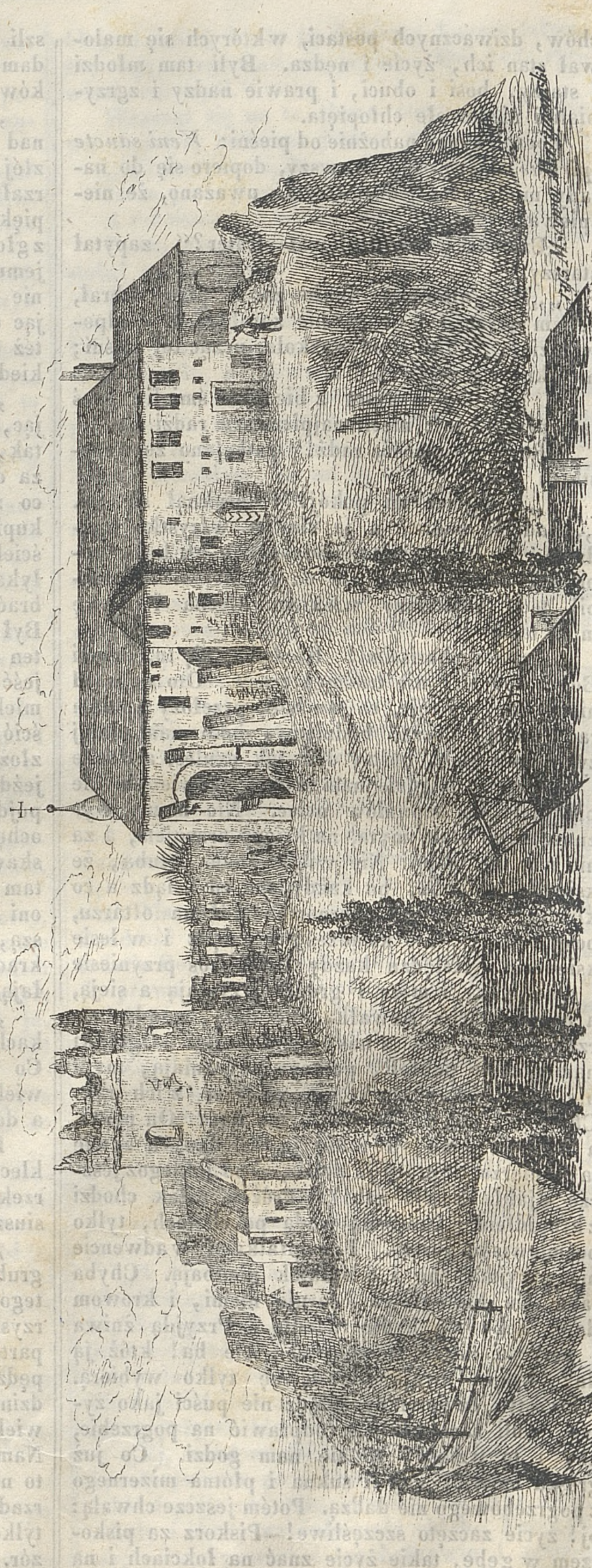
Przez drogę, bez celu aż do wieczora, ciągła mowa o témże, ciągłe narzekania na plebanów i niedostatek. Po długich rozprawach kleśi chodząc od wśi do wśi, a po szkołach buntując

współbraci, uradzili synod, aby na nim coś sobie na dal postanowić, bardziéj jeszcze, aby odbiegłszy plebanów, nastraszyć ich i nakląć im do woli. Starszy magister Valentinus, najtęższa między nimi głowa, poradził rozesłać uniwersał, aby się wszyscy zgromadzili ku wspólnéj naradzie i usłyszawszy powszechnie okrzykniętą zgodę, nie czekając daléj, odpiąwszy od pasa wiszący kałamarz, na karczemnym stole, na wyszarpniętéj karcie z podartego chórału, starém piórem żydowskiém, napisał uniwersał następujący:

Universis et singulis Christi fidelibus magistris ruralibus, tam uxoratis, quam juvenibus, ceteribusque rectoribus, scholasticis, concentoribus, campinatoribus, organariis, aliisque eorum administratoribus atque vicegerentibus, sive ordinatis, sive inordinatis, regularibus, apostatis, salutem in Domino.— Videndum est nobis dilectissimi in Christo, opportunum esse, coram consilio agere de nobis metipsis, divina clementia favente, nimirum hisce importunis temporibus, de nostraque conversatione, officiis, obligationibus tractare. Nam sacrosancta ecclesia catholica, quae est janua regni coelestis, statuit sacras synodos, non sine gravibus causis, totaque minerva saecularis militiae de commodis Reipublicae tractat, maximasque convocationes conventus assessiones facit. Nos quoque, qui pretiosissimo sanguine Domini nostri redempti sumus, in ejusdem tabernaculis humillima obsequia agimus de nostris officiis, curis, occupationibus atque ministeriis de emendatione vitae, denique de commodis inopiae nostrae tractare debemus. Id circa omnes et singulos fratres praesentibus literis admonemus, convocamus, hortamur et obsecramus, tam uxoratos, quam adolescentes, ut una nobiscum feria 5 post festum Epiphaniae in anno 1607., Cracoviam atque Casimiriam, absque ulla mora, conferatis et conveniatis, ibique vota parata, quilibet pro se reddatis, vestrasque injurias, atque inopias denuntietis. Unde nos seniores attendentes una vestrum de salubri consilia ad meliora singulorum commoda consulemus. Praesentem processum obsecramus, ut unusquisque ad viciniorem sine ulla mora transmittat. Datum de medio nostri. Anno ut supra 1607.

Nikt o łacinę nie prześladował Walentego, bo mało kto ją rozumiał, kazano jednemu z młodszych, pismo do bliskiéj podać plebanii, i tak uniwersał piorunem się rozszedł po Podgórzu i okolicach Krakowa.

A gdy przyszedł dzień naznaczony, mimo chłodu i śniegu, mimo bosych nóg i wydartych grzbietów, zebrało się na Każimierz pod Kraków z półtorasta kle-



Ruiny królewskiego zamku w Nowym Sączu, od zachodu.

chów, dziwacznych postaci, w których się malował stan ich, życie i nędza. Byli tam młodzi i starzy, bosi i obuci, i prawie nadzy i zgrzybiali i niedorosłe chłopięta.

Poczęli synod nabożnie od pieśni: *Veni sancte spiritus*, którą odśpiewawszy, dopiero się do narady mieli. Na jednego tylko uważano, że nieśpiewał.

„Czemużeś nie śpiewał frater?“ zapytał starszy.

„„Ba, albowiem mało za to plag nabrał, żebym jeszcze i tu na nie zarabiał,““ odpowiedział; „„bito mnie w szkole, ucząc téj pieśni; nie tknę się jéj!““

A gdy się wszyscy z biedaka śmiali, ktoś tam przebąknął: niech najpierwszy radzi.

„Radź waszmość, radź!“ zawołano ze wszystkich stron.

„„A dajcież mi pokój!““ ofuknął się im. „„Radźcie sobie, a ja się na wszystko zgadzam.““ To mówiąc, podparł się na kiju, poprawił czapki i miał się do słuchania. Wystąpił tedy najstarszy wiekiem klecha i mowę miał taką:

„Fratres charissimi! Kiedyśmy się tu, dzięki Bogu, zebrali, nie traćmyż czasu. Oto naprzód niech każdy swoje, co mu boli, przełoży; potém rady koleją dawać będziemy, jako nam daléj życie prowadzić, bośmy dziś jak exules, advenae i włóczęgi. Nigdzie nam domu, ledwie się nie przyjdzie do szpitalów uciec. Nie mamy wyznaczonego stale myta, na księży pracujem, a za nic nas nie mają. Nie wielka nam chluba, że księdza zastąpim, bo każdy zna co ksiądz a co klecha; żebym ja w ornacie siadł na ołtarzu, powie drugi: nie ksiądześ; a ksiądz i w lesie księdzem. Księdzu każdy dzień coś przyniesie i dziesięcina i msze i grunta trzymają a sieją, a nam i chleba kawałka nie dają, a gdy narzekamy, to się z nas naśmiewają. Ogródki nam nadane pobrali, petycye zagarniają, myta nie dają, klerykatury nie wydrzeć z ich rąk. Chłop też nie da, bo za co ma dać? On mówi, a robię ja panu, a robię ja księdzu, a żywię ja żołnierza, a płacę ja pobór, a po jakiegoż jeszcze djabła żywić żaki? Próżno człek chodzi z kropidłem i święconą wodą po chatach, tylko pośmiewisko zbiera. I z opłatkami w adwencie nie przyjmą, bo i o opłatek niedbają. Chyba jaka tam białogłowa czaruje niemi, i krowom daje, żeby się bydło wiodło. Przyjdą żniwa i petycya nasza snopkowa! Ale ba! któż ją da? księża swoją dziesięcinę tylko wybiorą. Z kwesty, czwarcizny ksiądz nie puści jako żywo, woli sam psałterz odprawić na pogrzebie, aby i to wziąść, co się nam godzi. Co już grosza mówić, gdy i sukna i płótna mizernego z pogrzebowego nie dadzą. Potém jeszcze chwalą: oj! życie zaczęto szczęśliwe! Piskorz za piskorzem w gębę, takie życie znać na łokciach i na piętach bosych braciszkowie. Drudzy już poszli u heretyków chleba szukać, drudzy za hajdamaków na wojnę przystają, inni za kluczników przy dworach, i tym lepiéj, niż nam.

„Jeden z naszych od młodych lat kawęczał nad chórałem, tu w krakowskiém, służył w niezłéj plebanii, pięć lat myta nie widział, zachorzał, nie miał o czém żyć i obiesił się. Otoż pięknie dla parafii, kiedy jéj się rektor obieśił z głodu. Za żywota czynił on dobrze ludziom, jemu po śmierci nikt. Drugi, Matyasz, male się nie utopił z biedy, tylko dziesiątek groszy mając całego myta. Trzeci, Walenty, cierpiał, aż też z głodu katem został. A cóż było począć, kiedy żołądek woła chleba, a tu go niema.

„A sławny ów Stefan, stary klecha, umierając, poszedł na mary bez koszuli. Tak ci to, tak, na starość i grośika nie przybierać. Kto za dwanaście groszy w rok służy, a jakże ma co zaszczędzić, kiedy i trzewiczyska za to nie kupi. Nieraz, Panie Boże odpuść, człek i w kościele nieraz łzami się zaleje, śpiewa i łzy połyka, a zamknąwszy kościół, idzie po wśi żebrać, bo w ogrodzie pusto, w komorze pajęczyna. Był ci zwyczaj objad u księdza w święto, ale ten ustał, choć z nowych graduałów uczą kirye, jeść jednak nie dają. Oj! gdzież to oni głowy mieli, co fundacye robili, wszystko dali na kościół, a my jak pśi tułamy się bez grosza, albo złożywszy się we dwoje, muśim dać po sobie jeździć kucharkom. I co miało pójść klesie, pójdzie jéjmości na szubkę, na letniczek, na ochędóstwo, a nie gadaj im inaczéj, jeno: Łaskawa gospodze! bo cię z djabłem poślą. Kto tam króluje w plebanii? Zaczki owe jéjmościne; oni to do mszy służą, i plebanią rządzą i kleszą, na piecu śpiewają, z ołtarzy chleb ofiarny kradną, jeszcze nasze dzieci potłuką, a nas połają.

„O toż to idzie, bracia, aby i o sobie i o dziatkach poradzić, bo daléj, daléj gorzéj będzie. Co głowa, to rozum, jeden nie da rady jak wielu. Poczynajcie więc seniora wasze vota, a daléj młodzi w kolej, aż do końca.“

Powstał na te słowa stary i obłysiały Adam klecha, ale ten gwarzył, jako i pierwszy, narzekając ogólnemi słowy. Za nim votował Blasiusz, też stary i zgarbiony, a na kiju podparty:

„„Jestem Podgórzanin, braciszkowie,““ rzekł grubo, „„i wy Podgórzanie, a wiecie, co nam tego licha nawarzyło, o to te przeklęte mazurzyska, co tu się do naszych księży, ze swemi partesami rekommendują. Aby ich tylko przepędzić byłoby lepiéj, a niechby księża co godzina to nowina nie wymyślali. Człek się cały wiek uczył, a teraz oduczać i przeuczać muśi. Namnożyło się ksiąg, chorałów, graduałów, a to nam starcom na złość tylko, bo się te księgi rzadko dwie zgodzą, a księża, aby się człek tylko pośliznął, zaraz wypędzą, byle tylko pozór. Oj! księgi te nowe a Mazury, byłoby nam dobrze bez nich.““

Poczém obejrzał się i siadł na ziemi, a zaczął podrzymywać.

Obok niego Jan klecha siedział; ten powstał, rękę po gębie przesunął, krząknął i zająknął się.

„„Nie wyganiać nam Mazurów, nie łajać na książki,““ rzekł, „„jednychby kochać, drugichby się nauczyć, a nie próżnować! oto moja rada. Dixi.““ I głową kiwnął.

Spiesznie chciał po nim Matyasz głos zabrać, ale się zachłysnął brzydko, i ledwie język ustatkowawszy, począł:

„Nam kantory szkodzą,“ rzekł, „klęchom teraz lada kantor przewodzi, wielkiego myta żąda od rektorów i połowy petycyi. Oni to plotki noszą, próżnują, a do pracy ich napędzić, to ci jeszcze powie: Jam nie lada rodu! patrzaj go! kantorów wypędzić, co nam po nich!“

— Bo na co nam te szkółki, — rzekł Laurenty, — lepiéj się jakiem rzemiosłem bawić, niż szkółkę trzymać. Jaka z nich korzyść? Jak nie będzie szkół, nie pouczym żaków, niedopłacą się nas księża, będziemy w cenie. —

Następowała kolej na Stanisława, który w długiéj bekieszy, ciepło odziany, schyliwszy się na kiju, rzekł:

„A mnie dobrze na świecie, mości bracia, i nie pójdę od kościoła nigdy, chociaż już i w księgach niewiele widzę i niewiele wydzwonię, bo mi ręce drzą. Jednak na pamięć śpiewam, chmury i grady modlitwą odpędzam. Ludzie mi radzi przy kościele, co niedziela śpiewam im Bogarodzicę, to się zrzucą na mnie, a mnie i mała czego dosyć.“

„„Moja rada,““ rzekł powoli Christophorus, „„nie ruszać się z miejsca. I mnie źle, i mnie nędza dokucza, kilka lat myta nie widziałem na oczy. Ale niechce mi się na starość włóczyć, a komu z was śmierdzi szkoła, zróbcie jak ja, wyprowadźcie się ze szkoły na cmentarz. Ot moja rada.““

Aż po nim czupurny jakiś klecha, krępy a tęgo odarty, ze słomą w butach a piérzem na czapce, ozwał się:

„A kiego licha mam cierpieć, pójdę do zboru, nie zostałem księdzem, będę łatwiéj mistrzem, i chleb będzie i sława; znają mnie blisko heretycy, a gdyby nie oni, dawnobym już zdechł.“

Na te słowa ogromny się wrzask podniósł między klechy, wołali, spółem podnosząc pięście do góry:

„„Idź do djabła, kiedy chcesz!

Precz z między nas, żebyśmy się z tobą razem nie spodlili!

Na starość za kawałek chleba piekło kupuje!

Alboż to nam lepiéj jak tobie!

Precz, precz!““

Nie zmięszany tém bynajmniéj odartus, poprawił się:

„Ten błogosławiony, bracia, kto ma chleba kawałek, a przeklęty, kto go niema. Muszą być błogosławieni, kiedy im dobrze. Jeszcze jałmużnę dają, czego naśi nie czynią. Oni będą zbawieni, oni lepsi.“

Wszczął się na te słowa nowy krzyk i nowa wrzawa, żwawsza jeszcze między klechami.

„Aj! damy my ci, damy, tylko bełkotaj jeszcze! Idźże precz, ani się pokazuj!

A toć niecnoto! młodzi cię słyszą i gorszą się!

Precz, precz, idź, ogryzaj kości z heretyków stołu! precz! precz!“

Nie było co odpowiedzieć, Piotr minę pogardliwą zrobił, milczkiem wyszedł z koła. Długo jeszcze potém wrzawa trwała i wotowanie ustało, aż powstał Paweł i rzekł z cicha:

„Jam tu obcy, nie waszyniec, a słyszałem przysłowie: że każdy Piotr szalony, i dziś się przekonywam, że prawda. Ja nigdy wiary dla chleba nieoddam, co mi ją nanusiek z macierzą wpoili. Pierwsza to rzecz wiara, a głód do zbawienia nie wadzi.“

I zamilkł. Po nim jeszcze stary Józef się odezwał:

„„Chwalebne zdanie P. Pawłowe, laudandum est totum; kolej na młodych, niech pokażą, co myślą.““

Zerwał się tęgi parobek w łatanym giermaku, i zaraz począł, rozpuściwszy gębę:

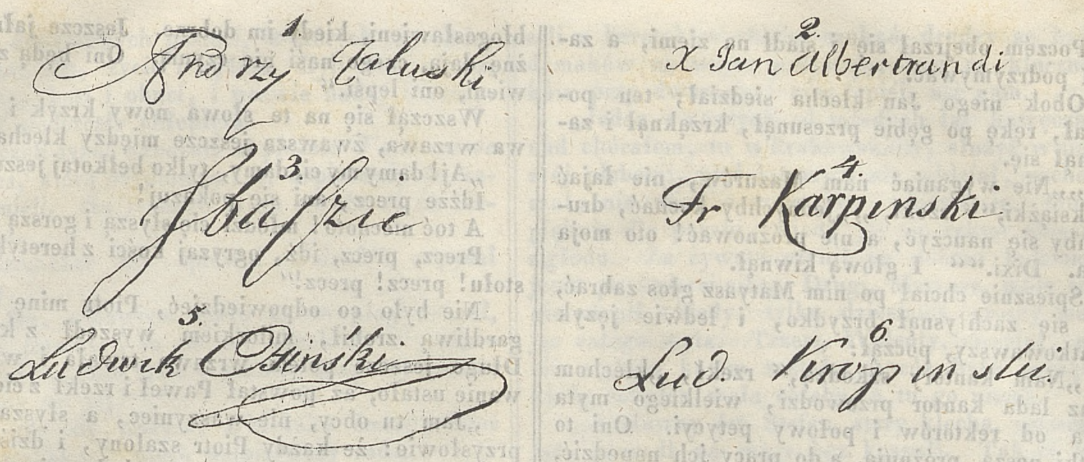
„„Oj starzy, starzy! wszystkichby was wytopić. Dziady, brodacze, wszyscyście ladaco. Wam to roskosz jeszcze, wam; płaszczycie się księżom ze strachu, aby was nie powypędzali; nad grobem stoicie, ni do ziemi, ni do nieba niezdatni. Bodajeście z głodu pozdychali, bo się wy z nami młodymi źle obchodzicie. Co wam Mazury wadzą, że z partesów śpiewają? Zazdrość wam tylko, zazdrość, że wy z babami ledwie Bogarodzicę odbeczeć potraficie. Ni wy do prawa, ni do kościoła, ni do Boga, ni do ludzi, ni do nieba, ni do ziemi. Niewarto wam i chleba dać na starość.““

Zająkliwy Piotraszek mu przerwał:

— Czego ty na starych krzyczysz? Dobrzy i oni, dobrzy i my. Ot lepiéj radźmy razem, a wyprawmy kogo do JMci księdza Biskupa z listem i przełożeniem skarg naszych, niech każe opatrzyć kościoły. U Rusi przecie Diaki przynajmniéj jedzą z księżą, niechby tak i u nas. —

„A dobra rada, dobra,“ krzyknął Bartłomiéj, „do Biskupa na nich! Pracy wiele, chleba mało, księgi nowe, a głód stary. A po jakiegoż licha cierpieć? Lepiéj zasię u heretyków, bo tam jedne kantyki śpiewają, a chleba po uszy. Choć ja ich nie chwalę, ale u nas praca wielka, a pożytek błazeński.“

„Ej, wara od Biskupa,“ rzekł Mikołaj, „bo i posły jeszcze po grzbiecie oberwą. Poradźmy sobie lepiéj, oto tak, rzućmy na jaki czas te szkoły i idźmy na żołnierski chleb. Teraz pono wyprawa, potrzebni pachołkowie i piechota, niechaj sobie księża jak chcą radzą bez nas,



Facsimilia sławnych ludzi. (*)

jak obaczą się, to potém lepiéj nas ufundują, a jak ludzie zobaczą pustki przy kościele, ubędzie im i dziesięciny nie od jednego. Wszystkich się obróciły oczy, gdyż wielki Albertus, ów to klecha, żołnierz, sławny wołoską wyprawą, już był gębę szeroką otworzył, i tylko jeszcze votum nie mogło się przez nią przecisnąć, aż nareszcie jakoś je wykrztusił.″

„„„To dobra rada,“““ zawołał, śiła na nią przystanie. „„„Byłem ci i ja na wojence, a lepiéj mi z tém teraz. Niéma jak żołnierski chléb. Jest i zdobycz czasem. Aby się co ochotnika zebrało, to i ja z wami.“““

„„„I ja,″″″ rzekł Szymon, „„„wolę służyć panom bratom, niż księżom i klechom. Trudnoby człek chciał zostać księdzem bez sukni na grzbiecie i grosza w kieszeni. A mam być złym księdzem, wolę być dobrym symplakiem. Teraz to lada klecha wyjdzie na księdza, a gospodynię przyjmie, oj dmież się, dmie. A te gospodynie, to nasz węgiel za pazuchą; te to duszyczki dopiekają nam. Człeku się aż zemsty, Boże odpuść, zachciewa!″″″

—I ja z tobą,— rzekł kantor Stach. —Dały się one i mnie we znaki poswarkami, plotkami; kupię kamień saletry, kilka funtów siarki, narobię prochu, i będę je strzelał jak wrony, a potém dopadłszy konika, fugas do Kozaków. Szukajcie mnie, tatusiu, a to za twoje fukanie.—

„Ja téż chcę być żołnierzem,“ odparł Kaspar; „porucznik stacyą wyszuka, a nie, to ją sobie człek i sam wydrapie, nie tylko od chłopa, ale i od plebana, za te jego wszystkie krzywdy. Aj, jakby to zdrowo było, księdzowskiego wołu z duchownéj obory zjeść!“

„I ja, i ja!″ krzyknął Walenty, „pozabieram stare książki z zakrystyi, skleję z nich kaftan, ponakładam blachą, co opadła z kopuły, i kto mnie potém przestrzeli? Kopję od chorągwi z kościoła odejmę, z starych błon naleję kul i damże im dam! Nie będę z biesiagami chodzić po wśi i prośić, wolę z dardą dziesiątek swój wodzić, wolę się zwać panem dziesiętnikiem, niż klechą, partaczem, albo i co gorszego.″

(Dokończenie nastąpi.)

(*) Podpisy: 1. Andrzeja Załuskiego. 2. X. Jana Albertrandego. 3. Staszica. 4. Franciszka Karpińskiego. 5. Ludwika Osińskiego. 6. Ludwika Kropińskiego.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)